

Kozak Magdalena

Świczka

Z oficjalnej strony internetowej autorki: <http://www.nocarz.pl/category/tworczosc>

Pierwotnie opowiadanie zostało opublikowane w *Esensji* nr XL, październik 2004

Jestem księgowym. I to dobrym.

Sprawdzam trzysta arkuszy Excela w godzinę bez żadnego błędu.

Cyfry, liczby, symbole, znaki wirują w moim mózgu, co chwilę podając mi nowy wzór na świat. Potrafię błyskawicznie wykonywać w pamięci skomplikowane operacje. Logarytmy, różniczki, całki nie mają przede mną tajemnic. Co wieczór siadam w fotelu, spoglądam w sufit i zaczynam żyć wśród liczb. Nie ma mnie wtedy dla świata, po prostu nie ma mnie. I w ten sposób spędzam moje spokojne, bezpieczne, monotonne życie. Dzień po dniu.

A potem wstaję. Kiedy jest już późna noc.

Podchodzę do okna, przykładam czoło do chłodnej szyby. Patrzę na blok naprzeciwko, w to jedno jedyne, najważniejsze okno na ostatnim piętrze, zadając co wieczór te same pytania.

Czy pali się u niej dziś światło? Czy poszła już spać po wielu godzinach spędzonych na wertowaniu wciąż tych samych zdjęć? Czy jednak był, a może wciąż jeszcze jest u niej... on?

On jest Kimś. Nie to, co ja.

Nie przygotowałem się zbyt dobrze do wycieczki po tej rzeczywistości. Pewnie tak się starałem zabrać ze sobą moje ukochane liczby, że jak zwykle zapomniałem się ubrać porządnie. To teraz mam, co chciałem.

Ciało gatunku trzeciego, odpad z produkcji na rynki krajów ostatniego świata.

Małe, chude, wiecznie przeziębione, uczulone na wszystko. Jak zaszczuty szczur, od wczesnej podstawówki wciąż uciekam przed silniejszymi kolegami. Nerwowymi ruchami przecieram parujące od potu okulary. To nie dodaje mi seksapilu, wiem.

Wszyscy pamiętali, żeby się jakoś ubrać, wybierając się na ten świat z wizytą. Silni, zdrowi, wysportowani. A ja co? Wziąłem ze sobą tylko te liczby.

Pewnie nie wiedziałem, że żadna kobieta nie pójdzie do łóżka z kalkulatorem.

Zwłaszcza taka jak ona.

Jest nieodwracalną królową moich marzeń, chociaż chyba nawet nie jest zbyt piękna. Też się tutaj za dobrze nie ubrała. Może się śpieszyła i wzięła ze sobą tylko to, co było jej najdroższe – jakąś taką nostalgię, tęsknotę za niewysłowionym. Nigdy z nią nie rozmawiałem. Ale czuję to w niej, widzę co wieczór, opierając swoje czoło o chłodną szybę.

Może to właśnie ta jej niespełniona tęsknota powoduje, że tak pokornie zgadza się na wszystkie warunki kochanka. On się z nią nie ożeni, lekceważąco rzuca jej jedynie ochłapy swojego czasu. Zresztą chyba ma już

zonę. To taki standard, żona jak paprotka w domu, a dla szczypty smaku nieco osobliwa kochanka raz na jakiś czas. Mężczyznom takim jak on to się po prostu należy. On jest Kimś, jak już mówiłem.

Prawdziwym mężczyzną. Komandosem może... A może antyterrorystą...

Supersamiec alfa, pierwszy w kolejności dziobania. On dziobie wszystkich, jego nie śmie nikt. Inni padają przed nim bez wahania na twarz. Idzie przed siebie, na wargach nieodmiennie drży mu nonszalancki uśmiech. On wie swoje i świat dookoła też wie swoje, i absolutnie się w tym swoim zgadzają – jemu należy się wszystko.

Za to, że odrobił lekcje i przed wybraniem się tutaj przygotował jak najlepszy strój.

Jego ciało jest jak idealnie zaprojektowana maszyna. Potężne i zwinne. Wysilek i taniec. Walka i seks. Do tego zuchwałe, wyzywające spojrzenie, niczym policzek wymierzone życiu prosto w twarz.

Wiem, że kiedy on śpi, ona opiera się nocą na łokciu i wpatruje się w niego zachwycona. I wiem też, że podziwia w nim nie tylko ten strój. Podziwia szczerze wszystko, czym on jest, bądź czym jej się wydaje, że jest. Może to właśnie na tym polega ta jej tęsknota za czymś niewysłowionym – ona marzy o dotknięciu prawdziwej wielkości.

I wiem też, że ona gdzieś tam po cichutku nie czuje się go godna, jakby aż taki mężczyzna nie należał jej się, bo grają nie w tej samej lidze. Ona może tylko pomarzyć o czymś więcej, pruć swoje życie powoli, mozolnie, dzień po dniu. A on tę wielkość tworzy codziennie, z lekko zblazowaną rutyną. Albo przynajmniej tak mówi. Ona zaś wierzy mu we wszystko.

Nie wiem, skąd to wiem. Patrzę i widzę, po prostu.

Ja dużo wiem.

Gdybym tylko mógł chociaż trochę zmienić swoje życie... Na lepsze. Na inne. Gdybym był Kimś, jak on. Byłbym wtedy przy niej, taki spokojny i taki szczęśliwy. Układałbym liczby w przepiękne, fascynujące szeregi. Rozsiewałbym dobroć pełnymi garściami. I kochałbym ją z całych sił, przynosił jej kwiaty co dzień. Gdybym tylko mógł spełnić swoje marzenia, urzeczywistnić swoje sny...

Nie, dość tego, dość. Najwyższy czas odwrócić się od okna. Dzisiaj on też tam jest, u niej, z nią. Wiem to, czuję. Wiem też, co się tam działo przed chwilą... I nie chcę tego wiedzieć. To boli. Moje własne pożądanie pulsuje wtedy do granic wytrzymałości, nakładając się na sceny, które szaleją w mojej wyobraźni.

To boli.

Odwracam się więc.

Otwieram wreszcie mój prezent. Tak, czasami robię sobie sam prezenty.

Znalazłem w Internecie – Strona Spełnionych Życzeń, www.makeawish.com. Albo jakoś tak. Nie wiem, nie pamiętam. Pokazało się na chwilę, a ledwo zdążyłem złożyć zamówienie, już im serwer padł. A za chwilę było tam już coś zupełnie innego.

Ale przystali. Chociaż myślałem, że niepotrzebnie wyczyściłem sobie kartę kredytową.

A jednak jest. Mój prezent, makeawish.com.

Jedna, mała świeczka, niczym zagubiony dodatek do urodzinowego tortu. Dookoła niej kartka – niewyraźne, odręczne bazgroły.

Zapal i zdmuchnij. Nawet nie myśl życzenia, stanie się samo.

Ale uważaj. Stanie się to, czego sobie naprawdę życzysz.

Zaufasz sobie? Zaufasz? Naprawdę wiesz, czego chcesz?

Co za numer. Śmieję się głupio, z niedowierzaniem. Całe szczęście, że wybrałem i tak nie najdroższą rzecz. Ale bym sobie pluł w brodę, gdybym... Zresztą, nieważne. Wyjmuję z kieszeni zapalniczkę, pstrykając niecierpliwym ruchem.

Zapalam świeczkę.

Dmucha lekko, krótko, od niechcenia.

Świeczka gaśnie z leciutkim syknięciem.

I nic. Nirwana nie nadchodzi, ani też żaden ziemski raj. Wzdycham głęboko, choć nie jestem zbyt rozczarowany. Spodziewałem się przecież... niczego.

– Skończyłeś już, Alfa? – pytają chłopaki ze zniecierpliwieniem. – Czas już na nas, czas!

Kiwam głową i chowam świeczkę do kieszeni szybkim, zdecydowanym ruchem.

– Taki mały przesąd... – rzucam niedbale. – Niech się spełni, make a wish. No, do roboty, panowie! Czas wyrwać chwast.

Opuszczają szyby na kaski posłusznie, podnoszą broń. Ja obracam między palcami mój nóż.

Wysypujemy się z bazy cicho, niepostrzeżenie, niczym koty.

Chłopaki idą z przodu, ja tuż za nimi. Osłaniają mnie, jak mogą. Jak powinni.

Jestem ich alfą, alfą i omegą. Zaczynam i kończę.

Najpierw dokonam błyskawicznej analizy sytuacji, cichym głosem wydam rozkazy. A potem... Wejdę do akcji, kiedy już cały brud będzie wymieciony i pozostaną najcichsze, najsubtelniejsze zadania. Mój nóż.

Wślizgujemy się do bloku, przebiegamy po schodach. Dziesiąte piętro, to nawet jeszcze nie rozgrzewka. Chłopcy błyskają do siebie białkami oczu, uśmiechając się.

Jakiś cywil stoi na klatce przed windami, patrzy na mnie z wyjątkowo zdziwioną, nierozgarniętą miną. Udaje, że w ogóle nie widzi chłopaków, jakby ci istnieli wyłącznie w mojej wyobraźni. Odruch strusia, cywile tak mają.

Winda otwiera się z lekkim syknięciem, mężczyzna wsiada do niej pośpiesznie. Zza zamykających się drzwi dobiega mnie jego zdumiony wzrok. Co, nigdy nie widział oddziału w akcji, nie ogląda telewizji? Przecież wszystko tam pokazują, każdy szczegół, dokładnie tak, jak to rzeczywiście jest.

Chyba faktycznie niewiele wie. Niepotrzebnie udaje, nic mu od nas nie grozi. Nie jest terrorystą, to widać. Mały, szary, zakompleksiony szczur.

Przez chwilę zastanawiam się, czy jednak chłopcy nie powinni go obezwładnić, przynajmniej na czas trwania akcji. Oni natychmiast odczytują moje myśli, jesteśmy przecież doskonale zgrani. Patrzą pytająco, to na niego, to na mnie, unosząc czujnie broń. Nie, chyba nie ma takiej potrzeby, jesteśmy tu po to, żeby wykończyć terrorystę, nie będziemy się zajmować nieszkodliwym cywilem. Kręcę głową, rzucam krótki rozkaz, oni posłusznie odwracają od niego wzrok.

Szczur znika za zamkniętymi drzwiami windy.

Chłopaki i ja przemykamy się korytarzem aż do końca, docieramy do właściwych drzwi.

Czuję rozkoszne drżenie włókienek mięśni nóg. Ciało karmi się adrenaliną, chciwie wychwytyjąc każdy jej gram. To zaraz, to już. Już czas. Już. Już. Już.

Delikatnie, bezszelestnie otwieram drzwi wytrychem. Jestem jak pająk, jak wampir, wtapiam się w mrok i we mgłę. Wchodzę do środka. Do jego tajnej bazy, na dziesiątym piętrze.

On... Nie ujrzałby mnie, nawet gdyby chciał.

Ale pewnie woli spać, żałosny dureń. Woli spać z moją kobietą. Spać. Z moją. Kobieta. To błąd.

Długi, nieomalże nieskończony korytarz wiedzie przez mieszkanie aż do drzwi sypialni. Po jego bokach inne pokoje, drzwi, za którymi czają się jego strażnicy. Wiem o tym, dobrze wiem.

Wycofuję się. Bez szelestu.

– Trzy pary drzwi po lewej. Dwie po prawej – rzucam krótko do chłopaków, słuchają uważnie, spięci, pełni szacunku, gotowi. – Uważajcie na ściany. Mogą być z gipsu, nie dadzą wam osłony.

Ruszać! – mówi mój wyraźny gest dłoni.

Biegna posłusznie. Po chwałę lub śmierć. Ja stoję z tyłu i patrzę, chłonę ten obraz szeroko otwartymi oczami. To dopiero początek, niech chłopcy się pobawią. Jeszcze nadejdzie mój czas...

I wtedy wybucha gwałtowne piekło. Dokładnie tak, jak to pokazują w telewizji.

Serie pocisków wściekle rozrywają gipsowe ściany. Chłopaki mają wyjątkowo trudną robotę, trudno im gdziekolwiek się ukryć, osłaniają jeden drugiego krzyżowym ogniem, ostrzeliwując się drzwiami w drzwi. Uwaga, otwór w suficie, wrzucicie granat. Nie zdążyli. Niczym snajper strzela ktoś z góry. Jeden z naszych pada, widzę, jak jego oczy zasnuwają się mgłą, ale mimo to umierający patrzy na mnie z niekłamanym oddaniem. No trudno, jeden mniej.

Jestem poza strachem, poza bólem i żalem. Te uczucia po prostu mnie nie dotyczą. Jest tylko zimny, jednostajny poszum rozkoszy wypełniający mój mózg.

Chłodnym wzrokiem analizuję sytuację, wydaję rozkazy. Jakbym miał przed sobą ciąg roztańczonych liczb... Tym razem ustawicie się tak, jak ja rozkażę.

To jest nareszcie mój świat.

Świsł kul, głuchy trzask niszczonej mebli, huk rozdzieranych ścian. Pył i gruz. Okrzyki walki, wycie i wrzask. Płynąca krew. Ból i śmierć.

To jest nareszcie mój świat.

Dochodzimy do celu. Chłopaki przodem, ja za nimi. Nieliczne kule jeszcze świszczą mi koło uszu, ale nic to. Czas już na mnie. Już czas.

Koledzy rozsuwają się przede mną. Otwieram drzwi zdecydowanym pchnięciem.

Patrzą na mnie oboje, rozbudzeni, niczego nierozumiejący. A potem patrzą na mój nóż. I na krew, kapiącą gdzieś z brwi, prezent od zabłąkanej kuli. Uśmiecham się zimno, upiornie. Widzę, jak w zawrotnym tempie w ich oczach narasta strach. Prawdziwe, niekłamane, zwierzęce przerażenie.

– Więc myślałeś, że sprawiedliwość cię nie dotyczy, tak? – pytam, jednym rzutem ciała klękając na jego klatce piersiowej. – Że możesz sobie pozwolić na wszystko?

Ruchy ma skępowane kołdrą, cały się trzęsie pode mną, chyba nawet nie zamierza się ruszyć. Komandos od siedmiu boleści. Terrorysta z bożej łaski. Śmieć.

Mój nóż przyniesie mu wyzwolenie od tej nędznej, parszywej wegetacji.

Nie mówię już więcej nic. Nie ma po co.

Chłopaki stoją wokół, patrząc z nieskrywanym podziwem.

Powolnym, wyćwiczonym ruchem przesuwam nóż po jego szyi. Najpierw lekko. Tylko tyle, żeby popłynęła krew. Ta ciemna, powolna, z rozdartych żył.

Zaczął się rzucać, dobrze, o to chodziło. Niech czuje. Każdym zmysłem. Niech czuje. Niech mu adrenalina szaleje, tłucze się po tętnicach, podpala każdy nerw. Rozpaczliwy, bezsilny, beznadziejny alarm.

Czas umierać.

Przytrzymuję lewą ręką jego głowę.

Tym razem cięcie idzie głębiej. Tętnice szyjne, dotąd pulsujące w strwożonym napięciu, nareszcie chlustają fontanną krwi. Czuję pod sobą rozhuśtane drgawki, całe jego ciało krzyczy w niemym proteście.

Odchodzisz, stary. Po prostu odchodzisz. Nic na to już nie poradzisz, nic a nic.

Zrozumiał chyba. Przestał się miotać i zgał.

Tak po prostu, zupełnie jak moja świeczka niecałe pół godziny temu.

Odwracam się teraz ku kobiecie. Siedzi tuż obok, na łóżku, niczym sparaliżowana. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, trzęsie się, nie jest w stanie wykrztusić ani słowa.

– Zdradziłaś mnie – mówię powoli, spokojnie, wbijając w nią nieustępliwy, oskarżycielski wzrok. – Pieprzyłaś się z nim, ty suko!

Jednym susem przybliżam się do niej, upuszczam nóż na kolana, chwytam jej twarz w swoje okrwawione dłonie. Podnoszę ku sobie, patrzę jej w oczy przez chwilę a potem całuję, całuję jej usta z całych sił.

Ona poddaje mi się bezwolnie, jak manekin zagarnięty z wystawy. Odrywam się zatem od jej warg.

– Dobrze, że się nie stawiasz – szepczę. – Wiesz, że nie wolno mnie złościć, wiesz to o mnie, maleńka, prawda? Wybaczę ci... może... jeśli znów będziesz dla mnie miła. O tak, wtedy z pewnością ci wybaczę.

Patrzą na nią, a w głowie tańczą mi już kolejne sceny.

Najpierw klęknie przede mną i będzie mnie pieściła, pełna wdzięczności, że jej na to pozwoliłem. Potem pchnę ją na łóżko i wezmę ją. Tu i teraz, wśród dojmującego zapachu śmierci i krwi. Będzie się wiła pode mną, jęcząc pod moim dotykiem. Z rozkoszy albo i z bólu, zobaczę jeszcze, co akurat zechcę jej dać.

Mówię jej więc o tym, wyrzucając z siebie gwałtowny potok słów. Obiecując rozkosz, obiecując ból. Obiecując... siebie. Mężczyznę, o jakim zawsze marzyła.

Wtem patrzę w jej zamarłe, osłupiałe oczy i już wiem, co jeszcze muszę zrobić. Co zrobić powinienem. Koniecznie.

Wyjmuję z kieszeni moją świeczkę, potem zapalniczkę.

Koledzy wokół patrzą z wyraźnym zadowoleniem. Kiwają głowami, przepełnieni aprobatą. Zapalam więc świeczkę, unoszę ją nieco do góry w lewej ręce, przepełniony poczuciem szczęścia. Poczuciem absolutnego spełnienia. Ostatecznego triumfu.

Prawą ręką chwytam kobietę za włosy.

– No, dmuchnij, maleńka – mówię z uśmiechem. – Nic nie musisz myśleć, spełni się to, czego chcesz. Ale to moja świeczka, więc spełni się to nam razem, obojgu. Ktokolwiek ją zdmuchnie, dołączy do mnie, będzie mój. A ty przecież tego właśnie chcesz, uwierz mi.

Szarpie się, głupia. Jakby się bała szczęścia.

– No, dmuchnij! – polecam ostro, zdecydowanie.

Dmucha więc, krótkim, chrapliwym, urywanym wydechem. Świeczka gaśnie nagle, słychać jej dojmujący syk.

I wtedy moja kobieta podnosi głowę, rozgląda się wokół. Patrzy na chłopaków, potem na mnie. Jej oczy błyszczą niekłamanym podziwem.

Tak, maleńka, to ja. To właśnie ja.

Supersamiec alfa. Cały twój.

Pójdziemy razem w świat, który upadnie nam do stóp.

•••

Jestem laborantem. I to dobrym.

Wychwytyuję każdy, nawet najdrobniejszy ślad.

Pewnie dlatego znowu muszę robić nadgodziny. Zbierać, analizować, przetwarzać dane.

Dodatkowa robota. Jakiś wariat zabił dziś człowieka, w środku nocy. Po prostu przyszedł, sam, i zarznął go nożem.

Podobno któryś sąsiad widział go na klatce chwilę przedtem, jak rozmawiał sam ze sobą, wydając rozkazy nieistniejącym osobom. I miał takie dziwne spojrzenie, jakby się sycił jakąś szaloną, niewidzialną władzą.

Poszedł i zabił tego człowieka. A potem zabrał jego kobietę. I zniknął, jakby się rozwiął we wszechobecnej, ponurej, listopadowej mgle. A ona razem z nim.

Może jeszcze wróci, może znów kogoś zabije. To wariat, trzeba takich powstrzymywać. Taka jest nasza praca, od tego tu jesteśmy.

Tak. My.

Tak naprawdę, to od tego są oni, bohaterowie, nie ja. A przynajmniej tak to wygląda na zewnątrz. Oni są na pierwszych stronach gazet, na żadnej z nich zaś nie ma mnie. Ja nie istnieję, wielkie małe nic.

Tylko że to mnie wyciągnięto z łóżka o tej porze.

Koledzy z dochodzeniówki śpią sobie jeszcze wygodnie. Póki nie ma danych, nie muszą nawet palcem w bucie kiwnąć. Moja praca dostarcza im na wpół gotowych rozwiązań, dostarcza kolejnych powodów do mnożenia ich sławy. A potem laury zbierają właśnie oni, panowie detektywi. O niepozornym, chudym, małym laborancie ani słowa. Wielkie małe nic.

Kiedyś... kiedyś pokażę im wszystkim, na co mnie stać. Wszystkim. Co do jednego. Każdemu z nich. Kiedyś nadejdzie ten dzień, w którym padną mi do stóp, a na posterunku niepodzielnie zapanuje krew. I to ode mnie zależeć będzie wszystko.

Ciekaw jestem, może ten wariat dziś w nocy też tak czuł. Może chciał przestać być niczym i w końcu przejąć władzę nad własnym życiem. I ona też, skoro tak od razu za nim poszła, bez najmniejszego oporu. Widziałem miejsce dzisiejszej zbrodni. Czyste, wypiełgnowane, nietknięte mieszkanie i tylko w sypialni trup i pełno krwi. Żadnych śladów walki. Facet przyszedł i zrobił swoje, zabił mężczyznę, a kobietę po prostu zabrał ze sobą. I poszli razem gdzieś w świat.

Czasami wydaje mi się, że doskonale takich ludzi rozumiem. Gdybym ich spotkał kiedyś, i jego, i ją, stworzylibyśmy wściekłą zgraję pogardzanych psów.

Mój Boże, o czym to ja myślę, co mi chodzi po głowie. My tu w policji jesteśmy od tego, żeby takich szaleńców powstrzymywać.

My. No właśnie. Oni, wielcy detektywi, tak. Ale... ja? Wielkie małe nic.

Siedzę w moim laboratorium, całkiem sam. Zagłębiam się w pracę, zanurzam się w niej całkowicie. Nie ma mnie wtedy dla świata, po prostu nie ma mnie.

I w ten sposób spędzam moje spokojne, bezpieczne, monotonne życie, dzień po dniu.

Tylko dowody, ślady i poszlaki rozmawiają ze mną, kiedy wpatruję się w nie aż do bólu. Przesłuchuję je, skryty za zasłoną moich grubych szkielec. Nie mają ze mną żadnych szans. Jak się odrobinę postarać, zobaczy się, że każdy przedmiot ma swoją moc... i swoją historię.

Ot, chociażby ta świeczka. Zgarnąłem ją z dzisiejszego miejsca zbrodni.

Wygląda jakoś tak dziwnie, trochę już wypalona, niczym zagubiony dodatek do urodzinowego tortu. Nie wiem, czemu podniosłem ją z podłogi, było tam przecież tyle innych rzeczy. Po prostu czułem, że ona jest ważna. Przyciągnęła mój wzrok natychmiast i wiem, że ta świeczka czegoś ode mnie chce.

Zapalę ją, zobaczę, co się będzie działo. Tak wiem, to jest materiał dowodowy, nie powinno się tego robić. Nie powinienem jej zapalać.

Ale ona coś do mnie mówi, a ja jestem ciekawski.

Najwyżej szybko ją zdmuchnę. To tylko świeczka. Nic się nie może stać.

He he, może przy okazji pomyślę sobie jakieś życzenie.

Na pohybel im. Im wszystkim.

Stworzymy wściekłą zgraję pogardzanych psów.